



Kordian Tarasiewicz

część III z III

Sygnatura notacji: **N0088**
Data urodzenia: **1910 r.**
Data nagrania: **2007 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Krzysztof Wyrzykowski**
Czas nagrania: **część I: 55 min, część II: 52 min, część III: 48 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Kordian Tarasiewicz: Więc teraz przede mną i przyjaciółmi, z którymi razem współpracowaliśmy, stanęła nowa rzeczywistość no i myśl, żeby jak najszybciej się dostać na Pragę, która była niezniszczoną częścią Warszawy, dowiedzieć się, co tam się dzieje ze sklepem Plutona, który był na ulicy Targowej, no i jak tylko dowiedzieliśmy się, że most pontonowy jest czynny przez Wisłę, skorzystaliśmy z możliwości dostania się na Pragę. No i taki obraz po tej zniszczonej Warszawie, że ulica Targowa, pełna życia, pełna rozmachu, ludzie normalnie, że tak powiem, ubrani, normalne życie. Próbowaliśmy wykorzystać to, żeby zmienić pieniądze, bo nastąpiła zmiana pieniędzy w międzyczasie i 500 złotych na osobę tylko można było zmienić pieniądze. Ponieważ myśmy w Plutonie mieli spółdzielnię, wydało nam się, że może przez tę spółdzielnię się uda większą sumę pieniędzy wymienić, ale odmówiono nam, że spółdzielnia jest adres warszawski, a to jest Praga i nie należy nam się ta wymiana. Natomiast pomyslna wiadomość się okazała na tej Pradze, że dowiedzieliśmy się, że w Lublinie, właśnie w tym sklepie Plutona, handlowaliśmy w czasie okupacji sacharyną. No i żeby sacharynę kupować, często była pomoc banku, że bank dawał kredyt na zakup sacharyny i jednocześnie w magazynie bankowym była ona zastawiona, że tak powiem. No i dzięki uczciwości Banku Handlowego w Lublinie, przechowała się duża partia sacharyny, która miała bardzo dużą wartość w tym momencie wygłodzenia ludzi, braku cukru i tak dalej. Tak że tutaj się pozyskało pewien kapitał, którego nam brakowało, żeby dalej jakąś działalność podejmować, mieć po prostu jakieś pieniądze na wydatki, na podróże i tak dalej. Tak że ta pierwsza wizyta na Pradze dała takie pozytywne rezultaty. Poza tym miałem taką satysfakcję, spotkałem mojego kolegę szkolnego, Kazia Rudzkiego, który w mundurze, że tak powiem, oficera z Oflagu dążył do Warszawy, żeby się spotkać z rodziną, niestety jego ojca rozstrzelali Niemcy, więc taka smutna przy tej okazji była okoliczność. No więc postanowiliśmy jednak zamieszkać w Warszawie, w tych ruinach, i okazało się, że przez pewne znajomości, taki

ocalał jeden z domów na ulicy Pięknej 11, na rogu [ulicy] Kruczej, duża kamienica, do dziś dnia jest w tym stanie, jak kiedyś była, i tam na jakimś pierwszym piętrze, taki lokal był wolny, i tam postanowiliśmy założyć kwaterę, żeby gdzieś spać, jeść i komunikować się. Po pewnym czasie telefon, pierwszy taki sukces, żeby mieć telefon na tej ulicy Pięknej. No i tam w pobliżu ulicy Pięknej, na ulicy Mokotowskiej 25, taki jest pałacyk, do dziś dnia ładny, i tam się zainstalował Klub Inteligencji Pracowniczej. Z bufetem, można było jeść obiad, kolację. I bardzo grzeczny, miły był dyrektor tego klubu, zaprzyjaźniliśmy się z nim, po pewnym czasie on odpowiedział: „Czy panowie nie interesowaliby się, żeby spotkać się z premierem Osóbką-Morawskim”, na Krakowskim Przedmieściu, w pałacu tym obecnym prezydenckim, tam się mieściła siedziba premiera, „bo on tam urzęduje co tydzień w jakieś niedziele czy w jakiś dzień prelekcje takie”, i zaproszenia nam dał, żeby pójść. Wybraliśmy się z całą grupą znajomych na taką pierwszą prelekcję, to był profesor Pieńkowski, miał wykład z pierwszego próbnego wybuchu na atolu Bikini bomby atomowej. No i był odczyt jego na ten temat, i po tym odczycie, drzwi się otworzyły, bufet był przygotowany, więc byliśmy bardzo zadowoleni. Okazało się, że kierownikiem tego bufetu był pan Henryk Fukier, znany winiarz w Warszawie. I okazało się, że też obok tego Osóbki-Morawskiego była pani Myszkowa-Spiczyńska, sekretarka, którą bardzo dobrze znał mój znajomy. I on podeszedł do niej, i mówił: „Słuchaj, my tu jesteśmy w parę osób. Może zapoznasz nas z premierem?”. Ona szybko podeszła do premiera, coś mu szeptała na ucho i później zapowiedziała: „Panie premierze, delegacja kupców bezpartyjnych chce się z panem przywitać”. Żadną myślimy delegacją nie byli, po prostu przypadkowe osoby. No więc Osóbka powiedział: „A, to miło mi, że panowie są, bo przecież nam potrzeba Wokulskich”. Więc dosyć żeśmy zaskoczeni byli, bo tu komunista, lewe skrzydło PPS-u, a raptem, o „Wokulskich” mówi. No więc parę słów było zamienionych. No i dlaczego o tym mówię? Później, po wielu, wielu latach, pan Osóbka-Morawski przeszedł na emeryturę i mieszkał obok mojego znajomego. I ja poprosiłem tego znajomego: „Słuchaj, zróbmy wizytę u pana”... A on mówi, dobrze. I określonego dnia byłem u Osóbki, i mówię: „Proszę pana, przed wielu laty pan nas przyjął jako delegację Wokulskich. Bardzo niedługo potem panowie jako rząd zaczęliście tępić Wokulskich. Jak to było?”. No i on się tak troszkę zafrasował, zaczął jakoś tak mętnie opowiadać, że to jedno skrzydło było w PPS-ie takie, drugie... No jednym słowem właściwie wykręcił się z odpowiedzi, no ale miałem satysfakcję, że mogłem mu przypomnieć tę jego wypowiedź. No muszę powiedzieć, że to była wtedy taka pierwsza faza pojęcia, jaka ma być gospodarka w Polsce, i zwykło się mówić, że trójsektorowa, to znaczy państwowe przedsiębiorstwa, spółdzielcze i prywatne. Oczywiście te prywatne były najmniej pożądane, ale zasadniczo rząd oficjalnie mówił na zasadzie manifestu tego lipcowego, że każdy może założyć firmę i tak dalej. Więc dzięki temu powstawały organizacje kupieckie. Ja byłem nawet przewodniczącym zrzeszenia kupców hurtowych handlu spożywczego, również byłem w zarządzie zrzeszenia importerów i eksporterów, no i dzięki temu, że tam brałem udział, powstała myśl, żeby w Izbie Przemysłowo-Handlowej w Warszawie z powodu rezygnacji poprzedniego prezesa wybrać nowego prezesa. I ja byłem kandydatem na prezesa Izby Przemysłowo-Handlowej, miałem wtedy trzydzieści osiem lat, więc w bardzo młodym wieku, no i zostałem wybrany na tego prezesa Izby, w 1948 roku, co było wielkim zaszczytem, dlatego że obok mnie był pan, w prezydium Izby, Czesław Klarner, wieloletni działacz gospodarczy, minister skarbu nawet, później pan Marcinkowski, prezes Związku Rady Naczelnej Zrzeszeń Kupieckich. No i cała moja dążność była taka, żeby się skomunikować z ministrem Mincem, który był dyktatorem gospodarczym z ramienia partii, co dalej będzie, jak to będzie przebiegać. I niestety wszystkie zabiegi, żeby do ministra Minca się dostać, nie dawały jakiegoś rezultatu, a w międzyczasie przyjechała do Warszawy delegacja Izby Przemysłowo-Handlowych czeskich, Czechosłowacji. No i oni zaprosili nas, żeby na jesieni we wrześniu przyjechać do Pragi z taką rewizytą. Tak żeśmy we wrześniu pojechali do Pragi, około dzie-

sięciu osób, prezesi wszystkich Izb Przemysłowo-Handlowych, Poznania, Krakowa, Łodzi, Katowic i tak dalej, no i ja byłem na czele jako najważniejsza izba, warszawska, która była koordynatorem. No i bardzośmy serdecznie byli przyjmowani przez tych Czechów, była przewidziana wycieczka po Czechosłowacji i do Słowacji, natomiast po paru dniach dochodziły do nas wiadomości z Warszawy, bo codziennie rozmawialiśmy z Warszawą, że postępuje likwidacja po prostu prywatnej inicjatywy nie tylko kupców, ale przemysłowców. A na późnej jesieni miało być na wystawie, bo w międzyczasie była wystawa „Ziem odzyskanych”, miał być zjazd prywatnego przemysłu. Więc postanowiliśmy skrócić tę wizytę naszą w Czechosłowacji, już nie być w Słowacji, ku żalowi tych Słowaków, i przyjechać do Warszawy, i znowu dobijać się do Minca, co dalej będzie. No i tym razem Minc wyznaczył nam wizytę, no i tu mi się udało, bo ja wiem, troszkę tak z tupetem zacząłem mówić do Minca, że: „panie ministrze, jest przewidziany w końcu października zjazd przemysłu. Ale dochodziły do nas wiadomości w Pradze, że jest likwidacja. To czy jest sens urządzać zjazd, jak jest likwidacja?”. A on mówi: „No wie pan, ma pan rację, to rezygnujemy z tego zjazdu, natomiast ja panów skieruję do mojego zastępcy, pana ministra Szyra, panowie złożą tam odpowiednie wnioski, co panowie uważają, że powinno się w prywatnej inicjatywie”. No i rzeczywiście, zostały dwa tygodnie czasu, żeby opracować szereg wniosków, Szyr nas przyjął, to trwało chyba ze dwie godziny, bo każdy z uczestników tej delegacji wygłaszał odpowiedni referat na odpowiedni temat, i nic z tego nie wynikło. Tak że wiadomo było, że to wszystko jest raczej przewidziane do likwidacji, i rzeczywiście ta likwidacja nastąpiła. Natomiast w międzyczasie pracy mojej tej społecznej, o której przed chwilą mówiłem, zastanawialiśmy się, co dalej zrobić z firmą Pluton. I tu były dwie koncepcje. Jedna, czy można odbudowywać w tak zniszczonej formie, bez pieniędzy, bez tego... Czy nie lepiej pojechać do Gdańska i starać się objąć jakieś byłe przedsiębiorstwo gdańskie, bo Gdańsk był bardzo wyposażony dobrze w takie firmy właśnie kawowo-herbaciane. I ja dostałem z ministerstwa odpowiedniego dokument, że mogę taką firmę poniemiecką objąć. Kaiser Kaffee Geschäft się nazywała. Miała na terenie Gdańska szereg filii, sklepów z kawą. No i pojechałem do Gdańska, objęliśmy, ściągnąłem masę pracowników, w nadziei, że po pewnym czasie ona będzie sprywatyzowana. Bo to pieniędzy nikt nam nie dawał. Myśmy wykładali swoje pieniądze, pensje były zaległe, żeby uruchomić tę palarnię kawy, bo przyszły transporty UNRRA-y, trzeba było palić tę kawę, więc Kaiser Kaffee Geschäft od razu... No i po pewnym czasie, po roku, okazało się, że trzeba z tego zrezygnować, wycofać tamte pieniądze się udało, bo już firma się rozkręciła, no i zabrać się, żeby tę zniszczoną firmę na ulicy Grzybowskiej odbudowywać. Już kredyty w banku można było dostać, tak że tutaj zmiana była w sytuacji dosyć wyraźna. No i po trochu żeśmy te ruiny zniszczone w czasie powstania zaczęli odbudowywać, dom mieszkalny, palarnię kawy i tak dalej. W międzyczasie robiliśmy wycieczki do Łodzi, dlatego że wtedy nie tyle była koncepcja, tylko mówiło się, czy w ogóle można będzie tę Warszawę odbudować w krótkim czasie stosunkowo. Czy nie lepiej zrobić w Łodzi? Była taka koncepcja. Jedyne w centrum Polski miasto położone, niezniszczone, bardzo liczna ludność i tak dalej. Tak że ta Łódź była, raz, taka przewidziana ewentualnie na tę stolicę, a po drugie, toczyło się tam normalne życie. Człowiek był stęskniony przecież po okupacji paru latach, żeby do teatru pójść... Tak że byliśmy tam, chodziło się do teatru na „Wesele” Wyspiańskiego, z Wyrzykowskim grającym, Erwin Axer tam zaczynał też teatr, do którego zresztą Kazio Rudzki... właśnie szybko się jakoś z nim umówił i zaczął być aktorem tego teatru. Tak że jeździło się do tej Łodzi właśnie dla odpoczynku pewnego i takiego relaksu. Potem się okazało, że jednak stolica ma być w Warszawie, i trzeba było już tę Warszawę opracowywać. Niestety, ponieważ mówiłem, że w 1948 roku była ta wizyta Minca, więc życie się toczyło dalej, coraz gorzej było, były domiary skarbowe, jak chwyтали za jakieś nieściśności w księgowości czy nieściśności w magazynach, brakowało tam kilograma czy o kilo było więcej, od razu domiar przychodził z urzędu skarbowego. Poza

tym były dodatkowe opłaty, daniny, różne jakieś opłaty, które trzeba było ponosić, tak że coraz trudniej było. Poza tym była dyskryminacja. Myśmy na przykład złożyli ofertę do wojska na kawę zbożową, ta oferta była najtańsza ze wszystkich firm, nawet państwowych. Tymczasem zabroniono nam, tę umowę unieważniono i żeby przejęła tę umowę firma we Włocławku, państwowa, upaństwowiona. Tak że te warunki były coraz trudniejsze, a takim ciosem, który doprowadził już do kryzysu, było, że przyszła odmowa architekta warszawskiego, żeby przyznać nam tę czasową własność, bo był ten dekret Bieruta, że wszystkie grunty w Warszawie są upaństwowione, no i myśmy złożyli podanie, żebyśmy byli dzierżawcami. No i odmówiono nam, wobec tego bank powiedział, panowie nie są właścicielami kamienicy, na której były na hipotecę zabezpieczone kredyty w banku. No więc katastrofa duża. Tym bardziej, że chcieliśmy wynająć już lokal Cepelii, i za to wynajęcie można było spłacić długi. A tymczasem ucięcie tego, że ta kamienica przestała być własnością Plutona, musiałem w 1950 roku wystąpić do sądu o upadłość. Dostaliśmy syndyka masy upadłości i w tym momencie, od 1882 roku, firma przestała funkcjonować. To był bardzo smutny obrządek, ale trudno. I ja zacząłem szukać jakichś innych sposobów zarabiania, i tak związałem się z taką firmą, która wyrabiała gumę, taką do wycierania dla kreślarzy, dla ludzi, którzy rysują, bezkauczukowa. No i jakiś czas ta firma się rozwijała, w pewnym momencie też napotkała na duże trudności i oddała się w ręce INCO. INCO to było, i Veritas, dwie firmy powołane przez Stowarzyszenie Pax, które miało zielone światło na działalność, jako że się opowiadało po stronie komunistycznej czy socjalistycznej. No i dzięki temu, że ja byłem w tej firmie bezkauczukowej pracownikiem, stałem się pracownikiem w INCO. Ta firma się bardzo rozwijała na zasadzie, że wszyscy, którzy byli zagrożeni podatkami czy innymi trudnościami, żeby uratować przedsiębiorstwo, często przychodzili do Paxu i „proszę zabrać cały mój majątek i prowadzić go pod swoją firmą, a ja tylko zostanę dyrektorem”, mówił taki właściciel. I dzięki temu to INCO bardzo się rozrastało, miało kilkanaście zakładów, bardzo dobrze zaopatrzonych, i poparcie od rządu, od partii, przez pewien czas nie płacili podatku dochodowego, dopiero potem rozłożono im to na raty, tak że firma była faworyzowana. No ale jak ja się zorientowałem w 1956 roku, że jest pewien przełom polityczny, bardzo krótki, paromiesięczny, ale był ten przełom, skorzystałem z tego, żeby wyjść z tego INCO, bo po prostu nie odpowiadało mi, żeby być w Paxie, a to wypadało być jako dyrektor, jeden z dyrektorów, żeby należeć do Paxu, co mi nie odpowiadało. No i tu się stały dwie rzeczy, że po 1956 roku właśnie polityczne takie nastroje bardzo były rozluźniające i zaczęły powstawać katolickie organizacje. Obok Paxu, który był katolicką organizacją, powstał Klub Inteligencji Katolickiej w Warszawie, Klub Inteligencji Katolickiej w Krakowie, w Toruniu i tak dalej. No i nawet była taka idea, żeby były takie ogólnopolskie kluby inteligencji, ale potem władze zrezygnowały. I ten warszawski klub w Warszawie powstał. I również powstała redakcja miesięcznika „Więź”, która do tej pory wychodzi co miesiąc, jest bardzo poważnym wydawcą różnych książek, i te dwie organizacje postanowiły powołać trzecią organizację, pod tytułem „Libella”, to znaczy przedsiębiorstwo, którego właścicielami właśnie te dwie organizacje były i która na podobieństwo INCO w Paxie zarabiała pieniądze, które służyły do budżetu KIK-u czy „Więzi”. No i ja zostałem po pewnym czasie dyrektorem, współdyrektorem, bo tam było trzech członków zarządu, tej Libelli i zacząłem tam pracować na podobnych zasadach jak w INCO, że przychodzili znowu inni przedsiębiorcy, którzy też już nie mieli zdrowia dalej prowadzić firmy, oddawali się pod opiekę Libelli, dostawali specjalne wynagrodzenie i ta Libella zaczęła się bardzo dobrze rozwijać. Poza tym powstała taka prawna sytuacja, uchwała numer 446, bo to była taka nietypowa... ani prywatne przedsiębiorstwo, ani spółdzielcze, ani państwowe, więc stworzono taką, że tak powiem, czwartą grupę działalności gospodarczej, mianowicie działalność gospodarczą organizacji społecznych. To było około trzydziestu takich organizacji, jak PTTK, Polski Związek Głuchych, Towarzystwo Naukowe Organizacji i Kierownictwa,

to były stowarzyszenia, które dostały zezwolenie na prowadzenie jakiejś działalności gospodarczej. Na przykład towarzystwo naukowe organizacji, konsultacje były jakieś, porady, zlecane prace i tak dalej. No więc było się już w licznym towarzystwie, nie była to jakaś taka samotna działalność i dzięki temu firma Libella mogła się dalej rozwijać. Później zaszły takie znowu sprawy, które charakteryzują nasze społeczeństwo, że wśród tych działaczy katolickich powstały różne przekonania, jak należy się zachowywać w sensie politycznym. Były skrajne poglądy, żeby jak najbardziej się separować, inne, żeby współpracować, i tak dalej, bo później było, że w sejmie było paru posłów, „Znak”. Klub „Znak” to właśnie był klub działaczy katolickich. Byli tam działacze z Krakowa, Kisielewski, Zawieyski, taki pisarz znany, Mazowiecki. To byli posłowie właśnie z ramienia klubu „Znak”. I w tym klubie „Znak” były właśnie te podziały, czy sprzyjać rządowi, krytykować go czy też milczeć. No i na tym tle powstały tak silne, że tak powiem, wzajemne animozje, że w końcu doprowadzono do tego, że Libelli odebrano prawo gospodarki i oddano w ręce innych działaczy. Nie chcę tu już wymieniać tych szczegółów, to były bardzo przykre rzeczy. Byliśmy wzywani do Urzędu do spraw Wyznań, żeby zgodzić się na taki kompromis, z którym nie mogliśmy się zgodzić, i potem po prostu Libella dostała pismo, że jest przedsiębiorstwo przekazane innym działaczom, kompletne bezprawie, bo z punktu widzenia prawa zupełnie niesłychane, ale z tym się nikt nie liczył.

Krzysztof Wyrzykowski: A o jaki kompromis chodziło? Jakiego rodzaju to były naciski? Czego oczekiwano od panów, na co panowie się nie chcieli zgodzić wtedy?

Kordian Tarasiewicz: Nacisk na nas, na zarząd, był taki, żeby oddać przedsiębiorstwo w dzierżawę grupie jakiejś tam innych katolickich... Myśmy powiedzieli, że nie mamy prawa do takiego... No to w takim razie skończyło się na tym. No więc ja myślę, że z punktu widzenia mojej działalności gospodarczej no to trzeba dopowiedzieć, że później, w 1989 roku, gdzie znowu się zmieniła sytuacja w Polsce, zaczęto próbować, żeby przywrócić ten stan poprzedni. No i powstał taki kompromisowy w 1989 roku projekt, że w tej Libelli poza KIK-iem i „Więzią” jeszcze inne organizacje stały się współwłaścicielami, i do dziś dnia Libella w tym składzie, że tak powiem, pracuje. Ja byłem później, już po tych wypadkach, w radzie nadzorczej Libelli, prezesem rady nadzorczej, a w 1970... A teraz koło 2000 roku już przestałem być w radzie nadzorczej i po prostu obserwuję działalność jako kibic tej firmy. Natomiast chciałbym powiedzieć, że poza działalnością, o której tutaj mówiłem, zawsze interesowałem się pracą społeczną. No więc wymienię tutaj takie instytucje, w których brałem udział szereg lat, jak Komitet Opieki nad Starymi Powązkami, któremu to komitetowi patronował przez wiele lat pan Jerzy Waldorff, z wielką energią, z wielkim entuzjazmem. Więc tam zajmowałem różne funkcje, byłem w komisji rewizyjnej. Muszę powiedzieć, że taką przyjemność odniosłem, że ktoś tam liczył te kwesty, które są na Zaduszki i Wszystkich Świętych, ja brałem udział w tych kwestach, to ktoś wyliczył, że dwadzieścia pięć razy ja z tą puszką chodziłem, i okazuje się, że miałem rywalkę w postaci pani Mai Komorowskiej, która też dwadzieścia pięć razy, ale to było już dawno, więc ona teraz jeszcze zbiera, jak słyszałem przez radio, a ja już na Powązki nie chodzę. W każdym razie to była przyjemna robota, że te Powązki, które ulegały zniszczeniu, dzięki pomocy właśnie tego komitetu i różnych sponsorów, których tam Waldorff umiał namówić na jakieś dotacje pieniężne, dzięki temu około 1 tysiąca nagrobków zostało odnowionych. Drugą taką organizacją, z którą miałem po wojnie do czynienia, to był Polski Związek Tenisowy, gdzie ja już miałem to zamiłowanie tenisowe, więc później, jak już nie grałem w tenis tak zawodowo, udzielałem się w zarządzie Polskiego Związku Tenisowego i miałem wtedy okazję poznać tych sławnych tenisistów, jak Fibaka, Gąsiorka, Skoneckiego, cały ten świat sportowy,

który zawsze był bardzo interesujący w sensie międzynarodowych spotkań, wyników i tak dalej. Tak że to stanowiło zawsze dla mnie dużą przyjemność i tę tradycję starałem się utrzymać, że rzuciłem taką myśl, żeby wśród starych działaczy tenisowych spotykać się co miesiąc, i spotykamy się co miesiąc w kawiarni i obgadujemy różne dawne, że tak powiem, wydarzenia tenisowe, komentujemy to, co się w tej chwili dzieje w sporcie tenisowym, mamy utalentowane dziewczyny, panny Radwańskie, które mają duże sukcesy, więc jest o czym mówić. Ale ta działalność tenisowa też wykraczała poza ramy Warszawy. Ja jako działacz wyjeżdżałem czasem za granicę, mianowicie byłem członkiem takiego międzynarodowego turnieju we Francji dla młodych tenisistów, do lat dwudziestu, to się zawsze odbywały finały w Vichy, w tym mieście słynnym z powodu rządu francuskiego w czasie okupacji, który rezydował w Vichy, no i dzięki temu wyjeżdżałem na różne inne imprezy tenisowe jako kapitan drużyny. I kiedyś w Rzymie byłem z Gąsiorkiem, mistrzem Polski, i potem Lewandowskim Bronkiem, takim młodym tenisistą, na turnieju międzynarodowym w Rzymie, i tam poznałem takiego działacza tenisowego, Polaka, pana Krugera, który przychodził na te spotkania i kiedyś zaprosił nas do domu na kieliszek wina, rozgadaliśmy się, okazuje się, że on jest weteranem, tak zwanym oldboyem, w takim najlepszym klubie tenisowym Rzymu, grywa w tenisa. I ja go się wtedy zapytałem, dlaczego pan nie przyjedzie do Sopotu, gdzie co roku jest właśnie taki turniej dla starszych panów. On mówi: „Wie pan, ja bym chyba nie dostał wizy”. Ja mówię, dlaczego? „No wie pan, bo ja u Andersa byłem, a poza tym ja się przyjaźnię z kardynałem Wojtyłą, który też nie jest bardzo dobrze widziany”. No więc, no później zaprosił nas, Gąsiorka, mnie, żeby pokazać swoją jakąś budowę, bo on inżynier budowlany, więc pod Rzymem tam coś budował, pojechaliśmy tam, było zabawne zdarzenie, że jak ten restaurator na kolacji, na którą nas zaprosił, dał nam po butelce wina, no to wino, okazało się, bardzo musiało być młode, bo w czasie jazdy z tej miejscowości do Rzymu wysadzało korki. I całe to wino wyszumiało się, że tak powiem. No i po pewnym czasie się dowiedzieliśmy, że został Wojtyła wybrany na papieża, no i ten Kruger tam szaloną karierę, bo on był kolegą szkolnym, maturę razem zdawali z Wojtyłą, więc taka przyjaźń, i nikt nie wiedział, kto to jest Wojtyła. I ten pan Kruger był rozrywany przez dziennikarzy. Mam taką fotografię, gdzie cała rodzina jest Krugera, żona, córka i wnuczka, i on, stoją z papieżem, i papież zawsze zapraszał go, tam co kwartał czy coś, do Watykanu, i bardzo cenił sobie kolegę, i nawet jak była taka uroczystość w Wadowicach wmurowania tablicy ku czci pomordowanych Żydów, to upoważnił Krugera do tego, żeby odczytał list od papieża, który gdzieś związany był z tymi Wadowicami. Tak że przy okazji tych tenisowych rzeczy mogłem z tym Krugerem się zaprzyjaźnić i do dziś dnia koresponduję z nim. Zawsze namawiałem go, żeby tu przyjechał kiedyś do Warszawy. Jeszcze można powiedzieć, że z takich już mniej społecznych, ale koleżeńskich spotkań, to regularne były takie spotkania absolwentów Szkoły Ziemi Mazowieckiej, właśnie to Rudzki przychodził, Stanisław Jankowski „Agaton” cichociemny, Gajewski Wacek, świetny biolog, profesor na uniwersytecie. No ale lata przybywały i ludzi zaczęło ubywać, tak że ja w tej chwili, mając dziewięćdziesiąt siedem lat, to już z tych kolegów niestety nikt nie żyje. Ale w każdym razie to były takie jeszcze wspomnieniowe spotkania, które bardzo miały sympatyczny jakiś oddźwięk. Natomiast taką pracę, w pewnym sensie społeczną, ale jednocześnie zarobkową, moja żona pełniła, bo właśnie w 1957 roku były takie ruchy, żeby zwalniać nadmiar administracji, który był w tych ministerstwach, masę ludzi pracowało niepotrzebnie. No i między innymi w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, gdzie był ministrem pan Bogdan... brat jego, Trąmpczyński, zwolniono kilkanaście pań. No i ministerstwo zastanawiało się, jak pomóc tym paniom. I powstała myśl, żeby każda dostała na kredyt maszynę dziewiarską. I powstała firma, spółdzielnia Jersey, która zatrudniła te pięćdziesiąt osób, i ten Jersey robił swetry. Żona była projektantem tych swetrów, nadzór taki artystyczny. No potem tam zaszły w tym Jersey jakieś inne zmiany i żona później przeniósła się do... i tu muszę powiedzieć bardziej, ta społeczna rola jest

do podkreślenia, „nowa praca niewidomych”. To oni tutaj mają niedaleko, na ulicy Podchorążych, siedzibę. I to jest taki fenomen, był, że niewidomi stali się dzielarzami. Wydawałoby się to nie do pojęcia. Kolory, przecież... No i oni tak byli tym zaangażowani, że jak były rewia mody, na których pokazywano te swetry, to oni zawsze byli. Tak że tam był prezesem bardzo taki zasłużony działacz właśnie niewidomych. No i do dziś dnia ta spółdzielnia funkcjonuje. No i żona już jest od dawna na emeryturze, ale zawsze miło wspomina taką właśnie pracę z tymi ludźmi, którzy nie stali się jakimiś beczynnymi inwalidami, tylko nadal są w społeczeństwie czynnymi ludźmi.

Krzysztof Wyrzykowski: Chcę pana zapytać... Kiedy dzwonię tutaj, żeby umówić się z panem na spotkanie, zwykle dowiaduje się, że Pan będzie w porze obiadu, a potem dopiero wieczorem. Jednym słowem jest pan człowiekiem bardzo zajęтым i często jest pan poza domem. Czy mogę zapytać, jakie pan ma zajęcia?

Kordian Tarasiewicz: Ja mam zajęcia tego typu, że... To właściwie może mogę dodać jako dalszy ciąg tej mojej relacji. Zapisalem sobie „warsawiawa”, że ja się zajęłem pisaniem książek. Pierwszą książkę udało mi się wydać w 1961 roku, „Kawa po warszawsku. Historia firmy Pluton”. Bardzo było niełatwo wydać to, bo to były czasy właśnie PRL-u, gdzie tu jakaś firma, kapitalizm i tak dalej, ale w każdym razie się udało tę książkę napisać. Przy pisaniu tej książki zacząłem zbierać różne materiały dotyczące w ogóle kawy i herbaty. Wobec tego powstała druga książka, „Przygody z kawą i herbatą”, gdzie opisuję wszystkie związki literackie, które dotyczą kawy.

Krzysztof Wyrzykowski: Czy mógłby pan jakąś anegdotę przytoczyć?

Kordian Tarasiewicz: No właśnie, tych anegdot jest dużo. Ponieważ literaci zawsze zbierali się w kawiarniach, więc taka słynna kawiarnia na ulicy Ziemiańskiej, gdzie byli Skamandryci, Iwaszkiewicz, Tuwim, Słonimski, to tam aż huczało od różnych takich anegdot. Zresztą to były też ciekawe spotkania tych właśnie literatów, bo jeśli chodzi o ulicę Ziemiańską to uczestniczył w nich Wieniawa-Długoszowski. I Dymsha. I z tego powodu były różne żarty, i nawet zainteresował się marszałek Piłsudski tym, jak słyszał, że... I mówił do Wieniawy: „Słuchaj, to zrób tak, żeby ta szopka”... Oni urządzali raz do roku szopkę polityczną. Kukielki były i tam były różne bardzo złośliwe jakieś tam kwestie, które wygłaszali znani politycy. No i wobec tego zostali, Słonimski z kimś jeszcze, zaproszeni do Belwederu, żeby przywieźć te kukielki i mówić. I Piłsudski zrobił taki kawał, że na ten dzień wyznaczył zebranie Rady Ministrów do Belwederu. I przyszli ministrowie na zebranie Rady Ministrów, a on otworzył drzwi i mówi: „Zapraszam panów tutaj, do salonu, będzie szopka”. No i ta była właśnie szopka przedstawiona. To dowodziło, że wtedy marszałek jeszcze dobrze się czuł i miał poczucie humoru.

Krzysztof Wyrzykowski: Tak więc pan się zajmuje działalnością literacką teraz, tak? Jakie powstały kolejne pana książki?

Kordian Tarasiewicz: No więc to była właśnie ta książka typu takiego o tych związkach literackich. Poza tym teraz, ostatnia książka, rok temu wydana, to „Cały wiek Warszawy”, gdzie właśnie tam opisuję wszystkie swoje perypetie życiowe, natomiast jeszcze dwie pozycje tenisowe wydałem właśnie, „Opowieści tenisowe z myszką”, gdzie te dawne czasy tenisowe opisuję, jak tenis powstał, bo to była taka najpierw gra, gdy się dłonią, nie rakieta, się nazywało

po francusku „jeux de paume”, bo „paume” to jest dłoń. „Pomme” to jest jabłko. Potem zamiast dłoni była rękawica, a potem rakieta. Tak że ta ewolucja była tego typu. Siatka była, liczenie było inne. To dosyć nawet ciekawe dzieje. Zabawne, że to wszystko powstało we Francji, a właściwie wprowadzili na rynek światowy Anglicy. Anglicy zrobili regulamin, to liczenie, taki porządek i tak dalej. Tak że mam czasowo te parę pozycji, teraz jeszcze pracuję nad taką historią handlu kawą i herbatą, to prawdopodobnie będzie wydane przez taką oficynę wydawniczą, SGH, Szkoła Główna Handlowa. Tak że jest o czym... to wymaga jednak chodzenia do bibliotek, wyszukiwania różnych źródeł, jakichś dat, ustalenia nazwisk. Tak że po prostu mam co robić, aż za dużo. Wydaje mi się, że warto powiedzieć, o PRL-u to można byłoby nieskończenie mówić o olbrzymim temacie, ale dla mnie taką charakterystyczną między innymi rzeczą w PRL-u to był właśnie nadmiar pracowników. Ja miałem kolegów, którzy mówią, „słuchaj, ja nie wiem, co robić, bo siedzę przy biurku, do 11:00 godziny czytam gazety”, bo tam firmy prenumerowały, „a potem właściwie nie mam co robić”. I takim przykładem konkretnym było to, że kiedyś miałem coś do przewożenia, firmę transportową wynająłem, i ten pan mi dał bilecik swój z firmy. I ja patrzę, że firma powstała właśnie w okresie tępienia prywatnej inicjatywy. I ja mówię, czy pan miał odwagę założyć firmę taką transportową w okresie... On mówi: „Proszę pana, ja jestem geologiem. pracowałem w Instytucie Geologicznym. Tam nie mogłem wytrzymać, nic do roboty nie było. Mówię, ja muszę coś robić. Założyłem firmę”. Więc to dowodzi, jak silny był ten napływ. I to statystyki mówiły, że nie było bezrobocia. Było bezrobocie, tylko że wszyscy mieli posadę. Natomiast na temat kadrowy taka jest zabawna anegdota, że partia, która czuwała nad wszystkim, zdawała sobie sprawę ze słabości jakości tych urzędników. I wprowadzała, że w wielu dziedzinach szkolenie było. Przychodzili wykładowcy i mówili. No i ta anegdota mówi, że w pewnym momencie objęto szkoleniem te panie, które pilnują toalet miejskich. No więc na pewien dzień zgromadziły się te panie przed komisją egzaminacyjną, strasznie stremowane, wybrały tę najodważniejszą na pierwszy ogień, żeby poszła. No i ona poszła, i zadaje jej pytanie: „Towarzyszko, powiedzcie, jaka jest najlepsza toaleta w Polsce?”. „W Komitecie centralnym partii”. „Dobrze. A teraz powiedzcie mi, co to jest taki trójkącik?”. „Trójkącik to jest toaleta dla panów” – „A kółeczko?” – „Kółeczko to jest dla pań”. „Dziękujemy towarzysze. Zdaliście”. Ona wychodzi i pytają, słuchaj, jak, jak, jak? Ona mówi: „Bardzo trudny egzamin”. „Dobrze, ale z czego cię pytali?” – „Z polityki i geometrii”. No więc to obrazuje, jaki był główny taki mankament życia biurowego w czasie PRL-u.

Krzysztof Wyrzykowski: A czy miał pan jakiś kontakt z pracownikami Służby Bezpieczeństwa? Czy miał pan jakiś kontakt z pracownikami Służby Bezpieczeństwa? Czy próbowali z panem kontakt nawiązywać, czy skłaniać pana przy jakichś wyjazdach do czegoś?

Kordian Tarasiewicz: Więc ja muszę powiedzieć, że taki niespodziewany był dla mnie okres, gdzie jak wyszedłem z tego Paxu czy z tego INCO, to tak mniej więcej się pokrywa, to dostawałem odmowę na paszport zagraniczny. Do dziś dnia nie wiem, kto mi się przysłużył, ja się domyślam, ale... No i walczyłem o to, mam dosłownie taki plik wszystkich... do KC, do biura paszportu czy... Ani żadnego życia politycznego nie prowadziłem, ani... Dopiero właśnie w tej komisji organizacji gospodarczej, która prowadziła tę działalność gospodarczą... Był oczywiście prezesem tej komisji partyjny pan. I ja się kiedyś do niego zwróciłem, mówię, proszę pana, może pan by mi poradził, bo tyle lat mija... Bo miałem tenisowe ciekawe wyjazdy, do Chin... i to „nie, nie, nie”. I on mi ułatwił, że zadzwonił do dyrektora departamentu Ministerstwa Wewnętrznego na ulicy Wiśniowej, nawet mam nazwisko tego pana, tam siwy taki pan mnie przyjął, i ja wszystko mu to wyluszczyłem, co w tych listach pisałem, i on jednak odkręcił mnie. I tu dopiero się

zaczyna przygoda, że ja mówię, dobrze, ale co mam w takim razie zrobić? „No niech pan pójdzie do biura paszportowego na ulicę Koszykową”. U którego ja kiedyś byłem, u tego dyrektora, i tłumaczyłem, ale... Podobno on w ogóle na to nie miał nigdy wpływu. I wtedy, jak ja się zgłosiłem, to podszedł do mnie taki pan i mówi: „Proszę pana, czy ja bym się mógł z panem zobaczyć w kawiarni?”. W jakiejś kawiarni żeśmy się umówili na Starym Mieście. Tej rozmowy nawet nie bardzo pamiętam, ale potem on jeszcze raz zadzwonił, żeby się zobaczyć, i to była taka rozmowa w prywatnym mieszkaniu na ulicy Poznańskiej. I on mówi: „Proszę pana, pan pracuje w Libelli. Chcielibyśmy wiedzieć, czy wy na przykład pracowników nie wozicie na Jasną Górę?”. Ja mówię, proszę pana, samochodów mamy niedużo i samochody wożą towary, nie pracowników, a ja się nie interesuję Jasną Górą, to są prywatne sprawy. „A co by pan mógł powiedzieć o panu Mazowieckim?”. Ja mówię, proszę pana, bardzo mało, dlatego że ja pracuję w przedsiębiorstwie, a pan Mazowiecki pracuje w organizacji katolickiej. Ja tam ani nie chodzę, ani się nie... Raz na rok się spotykam, na walnym zebraniu, to co ja mogę powiedzieć o Mazowieckim? No i potem on powiedział: „Bo widzi pan, nam by zależało jednak, żeby pan jakieś informacje nam przekazywał. Nawet, wie pan, moglibyśmy panu urządzić podróż do Brazylii, gdzie pan się kawą interesuje, ciekawa taka wycieczka”. No i tak zaczął naciskać, ja w końcu tak się zdenerwowałem, mówię, proszę pana, ja absolutnie odmawiam temu. Jeżeli będę za granicą i postyszę coś na niekorzyść Polski, to gotów jestem to powiedzieć, zagrożenie. Ale tak... No i na tym się ucięło. Ale oni próbowali właśnie. I właśnie to jest smutne może, jak się obserwuje, że głównie bardzo poważni ludzie, i księża nawet, ten wyjazd za granicę był ceną. Ja rozumiem, że ktoś rzeczywiście musi za granicę pojechać, żeby studiować coś i jakaś... Ale bardzo dużo tych wyjazdów było takich mało ważnych, więc za taki mało ważny wyjazd podpisywać jakąś lojalkę, to nie bardzo rozumiem to. Ale w każdym razie takie miałem przygody.